Świat powieściowy.

Nr. 112 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Nazajutrz pan de Villenave czekał na Munita o godzinie umówionej.

Cygan nie przyszedł.

Przez kilka godzin nie wychodził, bojąc się, aby Munito nie nadszedł podczas jego nieobecności.

Ale wieczór stracił już cierpliwość.

Poszedł do klubu i tam się dowiadywał czy kto się nie pytał o niego.

Odźwierny w klubie nie widział nikogo.

Niepokój go ogarnął

Zdradzony przez Paulinę Régis, zdradzony przez Corinnę Destremont, czyż nie mógł być także zdradzonym przez cygana?

Nie powiedział mu gdzie mieszka i gdzie go szukać.

Była chwila, w której Leon de Villenave chciał nawet pójść dowiedzieć się coś od służby w pałacu pani de Planche-Mibray.

Ale roztropność go wstrzymała.

Z dwóch rzeczy jedna: albo cygan go zdradził, a wtedy narazić się pani de Planche-Mibray było niebezpiecznie, albo cygan służył mu wiernie, a więc powinien być spokojnym i czekać.

Postanowił więc czekać i wrócił do siebie.

O ósmej godzinie wieczór, właśnie gdy kończył objad, ktoś zadzwonił w przedpokoju.

— Nareszcie — szepnął do siebie Leon — idzie Munito.

Leon de Villenave mylił się.

Nie był to Munito, ale stary odźwierny z pałacu de Planche-Mibray, który był jego szpiegiem.

— Donoszę panu — rzekł wchodząc — że pani baronowa przyspieszyła swój wyjazd.

— Kiedy odjeżdża?

— Już odjechała.

— O której godzinie?

— O trzy kwadranse na ósmą.

— O! O! — szepnął pan de Villenave brwi zmarszczywszy.

— I nie pojechała sama — ciągnął dalej szwajcar.

— Czy zabrała z sobą panią Villemur?

— Nie. Pojechała z panem de Maugeville.

Usłyszawszy to Leon de Villenave zerwał się jak szalony, i wpadł w taki gniew, że pchnął stół przed którym siedział. Stół się wywrócił, a cały serwis, stojący na nim, rozleciał się w drobne kawałki.

— Do stu djabłów! — wykrzyknął — nie pozwolę ja im długo być samym!

I zadzwonił gwałtownie. Lokaj jego, przyzwyczajony do uniesień swego pana, przybiegł.

— Pakuj moje rzeczy! — zawołał.

— Czy pan odjeżdża?

— Odjeżdżam dziś wieczór.

I Leon de Villenave odprawił starego szwajcara. Mimo szalonego gniewu mówił do siebie:

— Pociąg wieczorny zatrzymuje się o godzinie siódmej na stacji de la Roche. Tam przystanek pół godziny.

O godzinie dziesiątej pociąg pospieszny idzie do Auxerre, łączy się z tamtym pociągiem w Coulanges. Przyjadę do Coulanges prawie w tym samym czasie jak moja piękna ciotunia do Planche-Mibray.

I gdy tak pan de Villenave przygotowywał się do odjazdu, powtórny odgłos dzwonka dał się słyszeć.

— Może teraz przyszedł Munito — rzekł do siebie.

I wyszedł do przedpokoju.

Ale tym razem nie był to Munito, lecz stróż przynoszący list z poczty.

Byłto list a raczej bilet pisany przeszłej nocy przez Dolorés, cygankę.

Przeczytawszy go pan de Villenave mruknął:

— Do djabła, ten Munito! nie pojmuję!

Potem zaczął rozmyślać.

— Jeżeli Munito nie przyszedł, a chce się ze mną widzieć, to widocznie stało się coś niezwykłego, tembardziej, że baronowa odjechała nagle.

A co się stało muszę wiedzieć koniecznie.

A zresztą czy przyjadę do Burgundji dziś, czy w dwadzieścia cztery godzin później, moje turkawki nie pobiorą się jeszcze.

Lokaj wszedł oznajmiając, że rzeczy już spakowane.

— Już nie pojadę — odrzekł pan de Villenave.

Jak mógł zabijał czas do północy, potem ubrał się i wyszedł nie zwracając uwagi na powóz, który

stał niedaleko jego mieszkania, a w którym firanki były spuszczone.

W powozie tym siedziała kobieta z jakimś mężczyzną.

— Oto on! — szepnął tenże w chwili, gdy pan Villenave wychodził.

— Dobrze, poznam go — odpowiedziała kobieta, uchyliwszy trochę firankę i spojrzawszy na Leona.

I podczas gdy pan de Villenave szedł pieszo, bo na dworze było sucho, a z ulicy Helder na ulicę Peletier zaledwie kroków kilka, nieznajomy mówił do młodej kobiety:

— Ale powiedz mi przecie co myślisz zrobić?

— To już mnie zostaw. Zobaczysz...

— Czy mam wysiąść?

— Tak i czekaj przed moim domem o trzeciej godzinie rano.

I Munito, ponieważ był to on, wysiadł z powozu mówiąc do furmana:

— Do Opery!

I powóz odjechał unosząc Dolorés, cygankę.

. . . .

Gdy pan de Villenave wszedł do sali Opery, długo przechadzał się niecierpliwie po wszystkich salach pobocznych, garderobach i kurytarzach. Wiele masek zbliżyło się do niego, ale żadna nie mówiła mu o tem, co go najwięcej obchodziło.

Zaczął już myśleć, że był ofiarą jakiejś mistyfikacji, gdy jakaś maleńka rączka dotknęła się jego ramienia i szepnęła:

— Mibray!

Pan de Villenave drgnął i zatrzymał się.

Przed nim stała kobieta w prześlicznem dominie niebieskiem. Maska zakrywała zupełnie twarz jej, tylko oczy błyszczały dziwnie.

Maska ozwała się znowu:

— Nieprawdaż, że niektóre nazwiska są za długie?

— W takim razie przedziela się je na dwoje, tak jak ty to zrobiłaś masiu — odrzekł pan Leon de Villenave.

Maska wzięła go za rękę.

— Chodźmy do sali — rzekła — tam wiele masek tańczących; w wielkim natłoku łatwiej pomówić.

— Chodźmy — odpowiedział Leon.

— A więc — mówiła maska wchodząc do sali z Leonem pod rękę — jesteś zakochany, mój drogi?

— Z kąd to wiesz masiu?

— Zakochany do szaleństwa w baronowej de Planche-Mibray. Ach! oto wymówiłam nazwisko całe.

— Może — rzekł Leon.

— Miałam cię za rozsądniejszego mój kochany.

— Jakto rozumiesz?

— Nikt się nie kocha w kobiecie, z którą się żeni.

Pan de Villenave nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko ironicznie.

— Dwa albo trzykroć franków dochodu, pałac w Paryżu, zamek w Burgundji... To bardzo ponętne kochanku, nieprawdaż?

— Masiu...

— A gdyby też można mieć to wszystko bez żony...

— Masiu — mówił Leon — znieważasz mię.

— Ba!

— I sądzisz, że jestem zdolny do takiego podłego wyrachowania?

Mówiąc to wszystko nie wiedział jeszcze, że mówi do kobiety, która mu powie o Municie.

— No! — mówiła dalej maska — jeżeli tak kochasz panią de Planche-Mibray, tem lepiej dla ciebie; ale Munito nic mi o tem nie mówił.

— Munito?

— A tak. On mnie przysłał.

— Ach! — szepnął pan de Villenave, odetchnąwszy. Potem przypomniawszy coś sobie, rzekł:

— Wiem kto jesteś masiu.

— Doprawdy?

— Tyś pewnie jego siostra.

— Odgadłeś.

— A gdzie Munito?

— Pracuje dla ciebie.

— Dla czego nie przyszedł dziś rano?

— Ja mu odradziłam.

— W jakim celu?

— Kochany panie de Villenave — rzekła maska głosem czarującym, na który zadrgały wszystkie nerwy starego rozpustnika — gdyby Munito był przyszedł do ciebie dziś rano, ja nie miałabym tego szczęścia przechadzać się dziś z tobą pod rękę.

— To grzecznie, doprawdy.

— I straciłbyś przez to wiele rad dobrych.

— O tem jestem przekonany — odpowiedział z galanterją pan de Villenave.

— Jednakże — ciągnęła dalej maska — nie tu myślę wypowiedzieć ci te rady.

Żyłka starego rozpustnika odezwała się znowu, bo odpowiedział:

— Właśnie chciałem cię prosić masiu na kolację.

— Przepraszam, to ja...

— Co mówisz?

— Ależ kochany mój — mówiła dalej maska — wszystkie tutejsze restauracje, zasługują jedynie na miano lichych garkuchni. Chodź do mnie na kolację.

— Słowo honoru, świat się przewrócił!

— A więc — rzekła śmiejąc się — będziesz jadł na głowie z nogami do góry. Chodź!

— Jakto! już?

— No pewnie. Cóż myślisz robić tutaj?

— Zresztą — mówił do siebie pan de Villenave — kolej nie odchodzi w nocy do Auxerre. Jeżeli będę chciał koniecznie dogonić baronowę, pojadę pociągiem rannym.

Pan de Villenave niedaremnie żył wesoło przez lat piętnaście, aby dziś miał porzucić dla planów mał-

żeńskich tak dobrą sposobność zjedzenia kolacji z ładną kobietką.

I wyszedł z sali z dominem niebieskiem.

Siostra Munita kazała przyjechać po siebie o godzinie drugiej.

Wsiadła z panem de Villenave do ładnego powoziku. Leon się zdziwił, że mu Munito nic nie mówił, iż siostra jego jest bogatą.

— Gdzie jedziemy? — zapytał, pomagając jej wsiąść do powozu.

— Do mnie — odrzekła.

Leon siadł obok niej, a powóz popędził lotem strzały w kierunku ulicy Caumartin.

W drodze ozwała się maska:

— Jeżeli mój szanowny gość chce sobie zapalić cygaro, ma pod tym względem wolność najzupełniejszą. Gdy nie masz pan ich pod ręką, znajdziesz w bocznej kieszeni powozu, gdyż ja palę cygara nałogowo.

— Jesteś masiu aniołem — szepnął pan de Villenave. Wyjął z wskazanego miejsca cygaro i zapalił.

XIV.

Cygaro, które pan de Villenave zapalił, miało smak nader słodki i podobieństwo z tytoniem tureckim.

Leonowi bardzo smakowało, i właśnie je dokończył, gdy powóz stanął.

Zajechali przed dom Dolorés. Cyganka sparła się na jego ramieniu, wyszedłszy z powozu i razem weszli na wschody.

Za dotknięciem się jej Leon uczuł jakiś dreszcz roskoszny. W miarę jak szli dalej, jakieś dziwne uczucie go opanowywało.

Zdawało mu się, że głowę ma lekszą a nogi cięższe.

Lecz nie zastanawiał się nad tem.

Gdy stanęli przed drzwiami, Dolorés zadzwoniła.

Mały murzyn otworzył.

Jakiś dziwny zapach, niby kwiatów egzotycznych, uderzył pana de Villenave.

Przeszedł przez salon nie zwracając uwagi na jego umeblowanie.

Wszak widział tyle salonów kobiecych!

Ale na progu buduaru, tego pokoju dziwnego, który przypominał trochę Indję a trochę Hiszpanję, zatrzymał się zdziwiony.

Buduar oświecony był z góry, a światło to fantastyczne robiło jeszcze dziwniejszemi te wszystkie malowidła na ścianach.

Na środku stał stół i nakryte już było do kolacji.

Kryształy czeskie, mocne i stare wina, potrawy dziwne, z których rozchodził się silny zapach korzeni krajów południowych, kwiaty i owoce nieznane w Paryżu, wszystko to wyglądało nader niezwykle i oryginalnie, to też pan de Villenave rzekł do siebie:

— Jeżeli przy tem pani domu jest tak piękną jak mówił jej brat, nie będę żałował, żem o kilka godzin opóźnił mój wyjazd.

Dolorés jeszcze nie zdjęła dotychczas maski.

— Rozgość się mój panie — rzekła — i zaczekaj na mnie chwilę. Pójdę tylko przebrać się i zdjąć maskę.

Leon został sam.

Dziwny i roskoszny ten zapach w pokojach upajał go.

Usiadł na dywanie i dziwne to uczucie, które już raz doznał wchodząc na wschody, opanowało go znowu ale jeszcze silniej.

Zdawało mu się, że głowę ma tak lekką, jakby chciała oderwać mu się z ramion i ulecieć w przestrzeń.

Po dziesięciu może minutach drzwi się otwarły i cyganka weszła.

Pan de Villenave nie mógł się wstrzymać od wykrzyku podziwienia, tak mu się wydała piękną.

Domino niebieskie zamieniła na ubiór czerkieski, który pewnie nosiła na dworze Schamyla, a perły i hafty dodawały jeszcze więcej uroku jej piękności.

— Oh! jakżeś piękną! — szepnął pan de Villenave, jednakże już nie tym tonem czczego frazesu rozpustnika paryskiego, ale z uniesieniem naiwnem człowieka, który to myśli co mówi.

— Czy tak piękną jak pani de Planche-Mibray?

— O jeszcze piękniejszą!

— Ale ja nie jestem baronową, nie jestem bogatą, ja...

— Ach! aniele mój — rzekł całując ją w rękę — ty... ty jesteś okrutną!

Zaśmiała się drwiąco.

— Kochany panie de Villenave — rzekła — myśl o tem, co cię tu sprowadziło.

— Co? — odrzekł zdziwiony.

— Przyjechałeś tu na kolację, a potem na dobrą radę. Zacznijmy od kolacji.

Mówiąc to siadła przy stole, a wskazując Leonowi na sofce miejsce obok siebie, rzekła:

— Poczęstuję cię potrawami narodowemi rossyjskiemi i czerkieskiemi i winami tureckiemi. Po kolacji pouczę cię, jak się trzeba starać o poślubienie kobiety, która cię nie kocha i nie chce.

Pan de Villenave jadł i pił, upajając się jednocześnie winem mocnem Wschodu, zapachem kwiatów i uśmiechem roskosznym cyganki.

I powoli obraz pani de Planche-Mibray zacierał się w jego pamięci, przybierał kształty niepewne, i niknął jak mgła przy promieniach wschodzącego słońca.

Te potrawy korzenne piekły go w gardle, wino odbierało pamięć. Nie widział i nie słyszał nic, prócz czarnych ócz i roskosznego głosu cyganki.

Murzynek usługiwał, ale natychmiast oddalał się dyskretnie.

Przy końcu kolacji przyniósł dwie eleganckie fajki tureckie.

— Może wolisz pan cygaro? — zapytała Dolorés — ale ponieważ nie paliłeś nigdy z prawdziwej fajki tureckiej, spróbuj.

I nałożyła fajkę, dodając do tytoniu coś zielonego wielkości grochu.

Pan de Villenave robił wszystko co chciała cyganka. Jej wola stała się jego.

Zapalił fajkę...

Wtedy haszysz, który już raz palił w cygarze, dokonał dzieła roskosznego upojenia.

Mając oczy otwarte, śnił.

Zdawało mu się, że cyganka obejmuje go wpół i całuje usty palącemi.

Obraz pani de Planche-Mibray znikł zupełnie z jego pamięci.

Siedząc na dywanie przyciskał z zapałem fajkę, sądząc, że ma w objęciach roskoszną cygankę i upaja się jej pieszczotami.

Ale cyganki już nie było.

Wymknęła się z buduaru, zarzuciła płaszcz na ramiona, a otworzywszy okienko na ulicę, wyjrzała przez nie.

Wkrótce mężczyzna jakiś stanął przed domem.

Był to Munito.

— Możesz przyjść — zawołała Dolorés.

Cygan zadzwonił i wszedł do kamienicy.

Dolorés wyszła naprzeciw niego.

— Czy już poszedł? — zapytał wchodząc.

— Nie, jest tutaj. Chodź.

Wzięła brata za rękę i zaprowadziła do buduaru.

— Patrz! — dodała.

Pan de Villenave wypuścił już z rąk fajkę.

Z rękami złożonemi na piersiach, nogi wziąwszy pod siebie, siedział na dywanie w sposób turecki.

Murzynek zabrał stół i kwiaty.

Pan de Villenave nic już nie widział.

Oczy miał otwarte, ale wzrok jego był szklanny i nie zajmował się niczem zewnętrznem, tak był pogrążony w tych roskosznych marzeniach.

— Jest w pełnym zachwycie — rzekła Dolorés.

— A! — odrzekł Munito.

— Jest upojony i jak pijany na czterdzieści ośm godzin — ciągnęła dalej — a przez ten przeciąg czasu zdawać mu się będzie, że jest ciągle w moich objęciach. Możesz do niego mówić, nie odpowie ci. Zapytaj go czy zna panią de Planche-Mibray, i imię to będzie mu zupełnie obojętne.

— Rozumiem — odrzekł Munito — ale upojenie haszyszem nie jest wieczne.

— Z tem się zgadzam.

— I potem odzyska on przytomność.

— Wistocie, ale potem znajdzie się rzeczywiście w moich objęciach, a ja się postaram, że o tamtej zapomni!

Munito potarł czoło ręką.

— Och! — szepnął — nie myślałem, że tak kocham tę kobietę!

— Cóż myślisz robić?

— Nie wiem.

— Wyjechała z Paryża, nieprawdaż?

— Tak, wczoraj wieczór.

— Jedź za nią.

Munito drgnął.

Dolorés spojrzała na niego a oczy jej błysły.

— Wszak ona ma w sobie krew naszą — zawołała — jest z rasy cyganów, a ty jesteś najprzystojniejszym cyganem, jakiego kiedy widziałam. Czyżbyś nie zdołał zdobyć jej serca?

Słowa te rozegzaltowały Munita.

— Tak — zawołał — masz słuszność! Ona musi mię kochać, i będzie kochać!

. . . .

Dzień jeden upłynął, potem noc, potem znowu dzień jeden.

Pan de Villenave był ciągle upojony haszyszem. Zachwyt trwał ciągle.

Od czasu do czasu Dolorés powracała do buduaru, i całowała go w czoło.

Potem znikała znowu, a Leon sądził, że jest ciągle przy nim.

Jednakże na drugi dzień wieczór, upojenie zaczęło się rozwiewać.

Oczy straciły tę szklistość, policzki zarumieniły się nieco. Zaczął się poruszać.

Życie rzeczywiste powracało i walczyło z tem otrętwieniem ogólnem.

— Do dzieła teraz! — szepnęła Dolorés. — Munito musi być szczęśliwy!

Właśnie noc nadchodziła i Leon budził się z tego upojenia długiego.

Ale Dolorés była już przy nim, i okrywała go pocałunkami.

— Ach! to ty! jeszcze ty! zawsze ty! — szeptał.

— Kocham cię mój luby! — odpowiedziała.

— I ja ciebie mój aniele! Ale cóż to się dzieje? Zdaje mi się, że... że jestem tutaj od bardzo dawna.

— Od nocy — odparła.

— Nie dłużej?

— Ależ nie...

— Ach! zdaje mi się, że spałem wiek cały...

— Spisz zaledwie od kilku godzin.

— Och! jakżeś piękną — szepnął.

Pocałowała go w czoło mówiąc:

— Nie jeden mi już to mówił, ale nikt tak mile jak ty.

— Więc ty mię kochasz droga?

— Niewdzięczniku! — szepnęła.

Pan de Villenave przetarł ręką czoło.

— Och! — odezwał się znowu — gdy spałem, miałem jakieś sny dziwne.

— Doprawdy?

— Zdawało mi się, że ciało moje było tutaj, a głowa bujała w przestworzu razem z twoją, która także uleciała od reszty ciała. Usta nasze były spojone i szeptaliśmy słowa miłości.

— Jest to sen mój drogi — odparła Dolorés — który jak chcesz możemy znowu powtórzyć.

— O! w tej chwili aniele! — dodał z uniesieniem.

— Nie teraz, ale wkrótce.

Zadzwoniła, murzyn wszedł.

— Nakryj do stołu — rzekła.

Po raz drugi pan de Villenave wieczerzał sam na sam z cyganką, zajadał potrawy palące i upajał się winem mocnem i starem.

Po raz drugi cyganka włożyła mu do ust fajkę nieszczęsną.

I znowu zatopił się w słodkich marzeniach.

Zapomniał o wszystkiem, nawet o pani de Planche Mibray.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

VII.

Pan sędzia zabierał się właśnie do domu, gdy wszedł woźny z miną nader tajemniczą.

— Co tam nowego?

— A nic proszę pana sędziego. — Woźny ten miał zwyczaj zawsze mówić: „a nic“. Raz gdy przyszedł do biura spłakany, i nader zmartwiony, a pan sędzia pytał go o przyczynę, odrzekł: „a nic proszę pana sędziego, żona mi umarła“. Otóż i dzisiaj do zapowiedzi „a nic“ dodał wkrótce ważną dla sędziego nowinę: — Zdaje się — mówił — że przyprowadzono tę angielkę, co to zabiła męża.

— Kto? gdzie? — zawołał pan sędzia.

— Kiedy się nie można z nią rozmówić. Przyprowadził ją zaś jakiś człowiek i mówił, że pokazała mu kartkę, na której było napisane „sąd“, a on domyśliwszy się, że chce do sądu, wskazał jej tu drogę.

— A cóż więcej mówił ten człowiek?

— A nic proszę pana sędziego, ino poszedł.

Pan sędzia zbiegł szybko do pokoju inkwizycyjnego. Na ławie pod oknem siedziała Alicja, blada, wystraszona, na pół umierająca.

Po odejściu Gustawa była Alicja bardzo smutna, a zarazem gniewna na samą siebie. Nie mogła pojąć, jak to się stało, że po takiem nieszczęściu, wszystka krew nie zbiegła z jej serca i... i... powiedzmy otwarcie: Gustaw przypominał jej tak Jonatana.. a młodość upominała się o swoje prawa...

Nie powiemy, żeby go już kochała, lecz towarzystwo Gustawa było jej miłem i pożądanem, a gdy odchodził, czuła się smutną i brak jej go było.

Otóż w czasie ostatnich odwidzin młodzieńca, przekonała się Alicja, że on ją kocha, i że jej serce zapominając o dawnem, świętem uczuciu, poczynało się skłaniać coraz więcej ku Gustawowi. Ulękła się tego. Dumna córka Albionu przysięgła raz tylko kochać, a oto teraz przysięgę łamała.

— Nie!... jego tylko kochałam i kocham! — szeptała do siebie — i raczej umrę, niżeli pozwolę nowemu uczuciu zawładnąć mem sercem!..

Przytem Alicja, nader wrażliwego usposobienia, nie zapominała nigdy o owem przywidzeniu się jej Jonatana, i nie mogła się pozbyć myśli, że on może żyje, a ona łamie zaprzysiężoną mu wierność.

— Nie!... tak dalej być nie może!... — rzekła do siebie po spędzonej bezsennie nocy. — Muszę się z tąd oddalić... winnam to mojej własnej godności. Ani jeden ani drugi nie powinien mnie przeklinać!... — Twoje cienie Jonatanie patrzą tam z niebios i błogosławią, a ty Gustawie... zapomnisz o chwilowem uczuciu... i będziesz wdzięczny kobiecie, która nie mogąc cię pokochać całem sercem, połową dzielić się z tobą nie chciała! Tak, uchodźmy z tąd! — zawołała. — Najpierwej jednak, niechaj sąd ludzki zmyje z mego czoła niesłusznie ciężące na mnie piętno zbrodni!

I snując w tym już tylko kierunku myśl za myślą, ułożyła cały plan. Zajęła się zaś tem z nadzwyczajną gorliwością, niezapominając o najmniejszej drobnostce. Wyszukała w słowniku słowo „sąd“ i napisała je na kartce.

— Pierwszy lepszy na ulicy wskaże mi tam drogę — myślała — gdy przeczyta to słowo napisane na bilecie.

Gdy zaś wszystko już było gotowe, nakreśliła tych kilka wyrazów do starca i czekała cierpliwie stosownej chwili, w którejby się mogła wymknąć niepostrzeżenie.

Dlaczego jednak nie zwierzyła się z tym swoim planem przed lekarzem, zapyta niejeden. Dlaczego?.. ponieważ czuła się już za słabą, ażeby się mogła oprzeć jego prośbom, ponieważ bała się uledz uczuciu, przed którem wzdragała się duma kobiety, która już raz kochała—i przynajmniej tak prędko miłości tej nie chciała się wyrzec.

Zresztą któż może wiedzieć jakie jeszcze inne myśli, zamiary i uczucia krzyżowały się w jej bujnej i przez nieszczęście rozgorączkowanej wyobraźni.

Któż może zaręczyć, czy ta chęć oczyszczenia się w obec opinji publicznej, nie była wynikiem właśnie tego uczucia, które starała się zabić w samym jego zarodku!...

Któż nakoniec odgadnął lub odgadnie serce kobiety, tem mniej zaś tutaj, gdzie na jednej jego połowie można było czytać wyryte płomienistemi zgłoskami imię Jonatana, a na drugiej wprawne oko, wśród ciemnych, jeszcze niewyraźnych i pokręconych linji, dostrzegłoby już może zarysy liter, z którychbyśmy złożyli słowo: „Gustaw“.

Biedna Alicja... uciekała przed wszystkiem i przed samą sobą. Kiedy służąca wyszła, wymknęła się cicho, a otuliwszy twarz chustką, pobiegła ulicą.

W drodze spotkała Gustawa. Uderzyła ją wzburzona jego twarz i ten pospiech niezwykły. Serce zabiło jej mocniej i zatrzymała się. Na razie chciała

biedz za nim. Lecz w tej chwili postać Jonatana przesunęła się przed oczyma jej duszy. Nie wahała się więcej, ciężkie westchnienie uleciało z jej piersi i pobiegła nie oglądając się wprost ulicą.

Przechodziła tak jakiś czas z jednej na drugą. Zapomniała o celu, do którego dążyła... o wszystkiem.

Znużenie oprzytomniło ją w końcu.

Szła pustą ulicą, a naprzeciw niej postępował powoli jakiś starowina. Twarz staruszka wzbudziła w niej zaufanie, to też wyciągając kartkę podała ją nieznajomemu.

Starowina patrzył długo w tę kartkę, to na nią, lecz nie zdawał się rozumieć, czego by sobie życzyła od niego.

Alicja się starała to wytłumaczyć ruchem rąk i twarzy, ale wszelkie jej usiłowania okazały się daremne.

Znudzona nareszcie chciała już odejść, gdy starzec zawołał tryumfująco: „sąd"!... i myśląc zapewne, że ma do czynienia z niemą, dawał jej do zrozumienia jak mógł, iż ją tam zaprowadzi.

Że ją tam przywiódł, wiemy już.

Lecz tutaj siły opuściły zupełnie biedną kobietę. Woźni, którzy poznali ją z rysopisu, wprowadzili chwiejącą się do pokoju, w którym zjawił się też wnet i sędzia. Widząc tę kobietę tak młodą, piękną, a jednak nieszczęśliwą, sędzia uczuł dla niej żywą sympatję i starał się kilkoma łagodnemi słowy uspokoić i dodać trochę otuchy tej złamanej istocie. Nie przypuszczał żeby się sama oddawała w ręce sprawiedliwości; był zdania, iż ktoś bojąc się ją dłużej ukrywać u siebie, odstawił ją tutaj. Znał się na sądach dobrze i wiedział, że żaden obwiniony, choćby się czuł czystym jak anioł, nie oddawałby się sam w ich ręce. Przeklął więc w duszy tego niegodziwca, który wydał nieszczęsną ofiarę, bo że była niewinną, czytał na jej twarzy, i starał się ulżyć jej losowi o ile mógł. Kazał przyrządzić najlepszą celę i polecił żonie odźwiernego, by nad nią czuwała, a w końcu żegnając Alicję rzekł:

— Bądź pani spokojną. Sprawa jej, jakkolwiek wydaje się być powikłaną, wyjaśni się wkrótce. Będę nad tem pracował razem z pani przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi? — powtórzyła Alicja, nie wiedząc do kogo by to stosował.

— Tak, bo juściż na tę tylko nazwę zasługuje ziomek pani, który z najwyższem zajęciem i gorliwością poszukuje ją, ażeby uniewinnić.

— Mój ziomek?

— Tak, niejaki pan Jonatan Enders!...

— Jonatan!... — zawołała Alicja i padła bez zmysłów.

VIII.

Po dłuższym namyśle doktor przyszedł do przekonania, że Alicja mogła mieć tylko jeden powód i jeden cel, rzucając jego cichy dom, dający jej pewne schronienie, a celem tym było oddanie się w ręce sprawiedliwości. Czyste jej serce nie mogło znieść dłużej tego fałszywego i przygniatającego ją położenia. Chciała zmyć ciężącą na niej niewinnie plamę. Widząc zaś, że ojciec się nie zgłaszał, a on, jej opiekun, zwlekał z dnia na dzień, znękana, chwyciła się w końcu tego rozpaczliwego środka.

W duchu starzec przyznawał jej słuszność. Przed Gustawem nie zwierzył się jednak ze swoich domysłów.

Młodzieniec nie pytał go zresztą o nic. Zamknięty w sobie, ponury, chodził po pokoju, zdając się zapominać gdzie był, i kto mu towarzystwa dotrzymywał. Ani spojrzał na starca, który widząc tę jego niemą rozpacz, czynił sobie gorzkie wyrzuty, że w głównej części on się do tego przyczynił.

— Gustawie — rzekł w końcu. — Bądź lepszej myśli, my ją odszukamy i...

— I co? — zapytał młodzieniec stając przed starcem i mierząc go ponurem spojrzeniem. — No cóż będzie gdy ją odszukamy? Cóż?... Mów pan! — zaśmiał się gorzko i zwrócił ku wyjściu. Zatrzymał się jednak, a przypomniawszy sobie widocznie w tej chwili ów pierścień fatalny, wydobył go i pokazując lekarzowi, rzekł:

— Patrz pan, oto odpowiedź. Talizman ten dostałem od kochanka Alicji! Po nim ma poznać osobę!...

— Ty bredzisz.

— Bredzę!... A czyż taki sam klejnot nie świeci na palcu Angielki!..

— Niczego to nie dowodzi — próbował uspakajać go doktor. — Zwierzyła się przedemną z najskrytszych swych uczuć... a...

— A usta jej nie wymówiłyż nigdy przed tobą imienia Jonatana Enders'a?!...

— Jonatana?!...

— Tak... Jonatana... kochanka Alicji!...

— Słuchaj — rzekł surowo starzec — nie znieważaj kobiety, nie mając do tego najmniejszego prawa. Mówiła mi o tym człowieku, kochała go kiedyś... miał zostać jej mężem. Lecz Jonatan Enders dawno już nie żyje, a tu zachodzi zapewne jakaś omyłka lub oszustwo!...

— Nie żyje! a ja go widziałem przed godziną!...

— Mówię ci, iż to wyjaśni się inaczej. Umarli nie wstają z grobu w dzisiejszych czasach. Ufaj mi więc, gdyż w takiej chwili nikt nie igra z uczuciami człowieka. Raz jeszcze ci powtarzam, że Alicja opowiadała mi z najdrobniejszemi szczegółami całą historję Jonatana i jego śmierci. Zginął na morzu w skutek rozbicia się okrętu „Himalaya". Wiadomości te podane jej zostały przez kilku ludzi, którzy się zdołali uratować. Lecz dość już o tem, czas przestać narzekać, a brać się do dzieła wyszukania i uniewinnienia biednej Alicji.

Gustaw milczał. Myśl rzucona przez lekarza poczęła kiełkować. Idąc ulicą upewniał się coraz więcej, że starzec miał słuszność. A gdy się znalazł w końcu w swojem pomieszkaniu, wierzył już święcie w jego słowa.

Rozdrażniona jego wyobraźnia, usnuła zaś wkrótce na tem tle, cały szereg zdarzeń i wypadków.

— To nie był Jonatan Enders, ale jakiś oszust, który znając jego historję, przywłaszczył sobie ten pierścień, i dzisiaj chce w jakikolwiek bądź sposób wyzyskać sytuację. — Obiecywał sobie, z jaką to wzgardą go przyjmie, i jak go zgniecie, rzucając mu prawdę w oczy, a w końcu odda nędznika w ręce sprawiedliwości!...

Tak marzył Gustaw, gdy na progu ukazał się Jonatan Enders...

Lecz jakże nie był podobnym do tego, za kogo chciał go mieć Gustaw. Nawet w tej chwili, patrząc na jego szlachetną i dumną postawę, musiał w duchu przyznać, że nie tak wyglądają oszuści.

Lecz od czegoż mowa... ażeby zadawała kłam myśli. To też zagadnął go szorstko:

— Oto pierścień, oddaję go panu, choć właściwie powinienbym był złożyć w inne ręce ten corpus delicti.

Jonatan zmarszczył brew i postąpił kilka kroków naprzód, lecz milczał.

— Weź pan ten pierścień — powtórzył Gustaw, rzucając go pod nogi Jonatana.

Anglik ani drgnął; stał jak posąg.

— Więcej nie mam panu nic do powiedzenia — dodał Gustaw po chwili, rozkoszując się niejako w tem pastwieniu nad obcym.

— Ale ja mam coś do powiedzenia — odezwał się na to Jonatan, zbliżając się do Gustawa, a kładąc rękę na jego ramieniu, dodał: — Z pana zazdrość przemawia, pan kochasz Alicję!

— Zbyt wiele śmiałości, mój panie Jonatanie Enders!... — zawołał szyderczo. — Wpierw, zanim będziesz badał mnie lub kogo innego, pozwolisz, że oddam cię w ręce policji, ażeby ciebie wybadała!...

— Szaleńcze!... cofnij twe słowa! — odparł anglik zimno. — Jonatana Endersa nie znieważa się bezkarnie!..

— Groźby!... — Gustaw się zaśmiał — być może, że Jonatan Enders był drażliwym na zniewagi, ale pan . . .

— Dosyć! — przerwał obcy. — Byłem przygotowany na wszystko i oto te papiery przekonają pana, że mówiłeś i obraziłeś śmiertelnie Jonatana Endersa!... — Podał mu zwitek papierów. Gustaw wzbraniał się chwilę, lecz w końcu wziął je i przejrzał. Były to dokumenta, stwierdzające najzupełniej tożsamość osoby anglika. Nie pozostawała pod tym względem żadna wątpliwość. Oddał je Jonatanowi nic nie mówiąc.

Ten zaś podjął pierścień z ziemi, wyprostował się dumnie, i rzekł wolnym ale stanowczym tonem:

— Pan kochasz Alicję i ja ją kocham. Mam wprawdzie prawo pierwszeństwa, gdyż była moją narzeczoną i gdybyś mnie pan był nie uraził tak srogo, byłbym z tego prawa skorzystał. Teraz jednak uczynić już tego nie mogę. Znieważonemu mógłbyś mi pan słusznie zarzucić że się uląkłem, a powołując się na przeszłość, nie śmiem stawić czoła przyszłości. O dzisiejszych uczuciach, Alicji mówić nie chcę i nie mogę. Szanse nasze są zatem równe, więc tylko: „à qui la victoire“.

Gustaw milczał. Słowa anglika były tak proste i tak trafiające do przekonania, że nic na nie nie mógł odpowiedzieć.

— Ponieważ jestem tu obcym — dodał Jonatan, jak gdyby był pewnym z góry, że Gustaw na to się zgodzi — sądzę, że pan sam ułożysz wszystko i postarasz się o świadków.

— A zatem jutro dodnia przyjdź pan tutaj — odparł Gustaw.

Anglik skłonił się sztywnie i wyszedł.

Gustaw napisał do Jana i do Eugeniusza, a wysławszy z tymi listami Wicusia, sam udał się do swej matki.

Po drodze starał się ułożyć tak twarz, by nikt się z niej niczego nie mógł domyśleć. Pomimo jednak tej przezorności, pani Zofia poznała natychmiast, że syn ukrywa tylko przed nią jakieś wielkie zmartwienie.

— Ty cierpisz? — badała troskliwa i kochająca matka. — Powiedz co za troska cięży na twej piersi, bo któż cię lepiej zrozumie, pojmie i ulgę przyniesie, jak nie serce twej matki!...

Gustaw tłumaczył się jak mógł, a chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał o Helenę.

— Ot, biedne dziewczę — odrzekła matka. — W dodatku jeszcze i z ojcem ma wiele przykrości.

— Cóż takiego?

— Oświadczył się o nią najpierw Eugeniusz, a teraz pan August.

— A zatem? — bąknął Gustaw obojętnie.

— Odmówiła obydwom. Ponieważ zaś pan Amadeusz uroił sobie, że powinna wyjść zamąż jak najprędzej, i Augusta bardzo lubi, nie daje spokoju córce.

— Zapomni wkrótce i będzie znowu wszystko dobrze — rzekł Gustaw.

— Dobrze!... Lecz do czego to „dobre“ doprowadzi?

— W każdym razie nic na to poradzić nie mogę — odparł syn, i pomówiwszy jeszcze trochę, pożegnał wkrótce matkę.

Radby był pożegnać ją inaczej, bo może to było ostatnie z nią pożegnanie, lecz nie chciał się zdradzać i martwić ją przedwcześnie.

Do późnej nocy błąkał się po ulicach. Potem uporządkował papiery i zaczął list do matki.

Gdy skończył, wprowadził Wicuś Jana i Eugeniusza. Za chwilę zeszli na dół, gdzie już na nich oczekiwał Jonatan.

Zamówiony powóz pomknął z nimi szybko za rogatki miasta.

Wybór miejsca i innych przygotowań nastąpił prędko.

Zaimprowizowani sekundanci ustawili przeciwników z bronią w ręku. Mieli iść do mety, strzelać zaś wolno było każdemu kiedy który chciał. Pierwszy ruszył Anglik, i stanął wnet u mety zimny, obojętny.

Gustaw nie ruszał się. Był blady, lecz wyciągnięta z zabójczą bronią ręka jego była jak ze stali.

— Tak dzielnych przeciwników nie często można spotkać — szepnął Jan wzruszony do głębi serca.

— Masz słuszność — odparł Eugeniusz, który czuł coś jak wyrzuty sumienia, że będzie niejako moralnie współwinny śmierci jednego z tych zacnych młodzieńców. Był zmięszany, nie swój.

W tej chwili padły dwa strzały jakby jeden, a gdy dym się rozszedł, ujrzeli przeciwników stojących naprzeciw siebie. Trwało to jednak zaledwie sekundę, gdyż wnet Gustaw zachwiał się i runął.

(Dokończenie nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

XIII.

Podczas gdy książe Druckoj odprowadzał aż do jej pałacu hrabinę de Sénonnes, która przyszła była piechotą, i stosując kroki swoje do jej chodu powolnego, słuchał z nabożeństwem macierzyńskich lamentów, chociaż byłby nie umiał z tego wszystkiego ani jednego słowa powtórzyć, pani de Vesore udzielała pomocy biednej Alinie, znalazłszy ją w najokropniejszym ataku nerwowym.

— Oto! — pomyślała — strona odwrotna tego spokoju niewzruszonego, tej odwagi niesłychanej, tego, co nasza ciotka nazywa oschłością i zatwardziałością. Stara warjatka! — skończyła rozmyślanie wykrzyknikiem dość niegrzecznym. Musiała sobie nim również ulżyć, po wysiłku cierpliwości i uszanowania, których dowody składała, podczas całej tej wizyty niefortunnej. Nie zadzwoniła na pokojowę. Wolała sama trzeźwić przyjaciółkę.

— Lepiej, żeby się coś takiego nie rozgłaszało! — szepnęła.

Alina odzyskiwała powoli przytomność.

— Gdzie jestem... co się ze mną stało?.. — tarła czoło nie mogąc myśli zebrać Wreszcie przypomniawszy sobie krzyknęła rozpaczliwie:

— O mój Boże! mój Boże! Odjeżdża więc jeszcze dalej! odjeżdża na zawsze!

Było to jakby objawienie dla pani Vesore. Chora wpadła w stan gorączkowy, i leżąc z oczyma szklannemi na sofce w sypialni, powtarzała po sto razy imię Gastona, to z wyrazem prośby czułej, to znowu z namiętnem uniesieniem. Ręce jej drżały febrycznie, zęby dzwoniły. Dotąd nikt, nawet Olga sama, nie zbadała stanu tego serca biednego, nikt się nie domyślał, iż mimo tak srogiej krzywdy, takiego upokorzenia, Gaston jedynie w tem sercu panował. Z jej usposobieniem, z jej charakterem wyniosłym, ta miłość tak nie licowała, iż ona pierwsza musiała ją uważać jako słabość jej niegodną, jako podłość nieledwie. Aby ukryć miłość nieszczęsną, walczyła nieustannie, udawała zimną, wyniosłą, przesadzała w okazywaniu się dumną i nieubłaganą. Zasłaniała się tem wszystkiem, jak puklerzem, czując w głębi serca, iż ją niedostatecznie osłaniał. Pani de Vesore miała od dawna pewne wątpliwości, które teraz w pewność niezbitą się zamieniły. Po głowie jej wirowały myśli i projekta chaotyczne; tworzyła tysiące kombinacji niewykonalnych, a wszystko w tym celu, aby tę dziewczynę wielkoduszną, a tak biedną, uczynić szczęśliwą, zadowoloną z losu kobietą.

Kilka godzin snu, pokrzepiło o tyle Alinę, iż obudziwszy się, oprócz znużenia, nic więcej nie czuła. Coś sobie jednak jak przez sen przypominała z majaczeń gorączkowych.

— Co ja mówiłam? Wszak nic nie powiedziałam? — spytała przestraszona.

— Nic, nic! — zapewniła ją Olga głosem słodkim i pieszczotliwym. — Dla czegoż tak drżysz? Czy myślisz, że gdybyś i zdradziła się przypadkiem z jaką tajemnicą przedemną, nie umiałabym ukryć jej równie głęboko jak ty sama?

Wzrokiem pytającym, starała się przeniknąć Olgę, z resztką niepokoju. Wyczytała jednak w jej oczach tyle szczerego współczucia, i taką gotowość poświęcenia się dla przyjaciółki, iż rozrzewnienie ją ogarnęło. Złożyła główkę na tem wiernem łonie, a dwa strumienie łez z oczu wytrysłe, znaczną biedaczce ulgę przyniosły.

— Bądź spokojną! — powtarzała Olga. — Nikt się o tem nie dowie.

I słowa dotrzymała. Nikt się nie domyślał, jak drogo (w czem była podobną do wielu bohaterek a nawet bohaterów) Alina opłacała zwycięztwo nad samą sobą. Niedługo tylko potem, pani de Vesore, której bujna fantazja pracować nie przestawała, nagle męża w ten sposób zagadnęła:

— Nie masz znowu jakich wieści o Gastonie?

— I owszem! Miałam najświeższe, przez tego pana Henrion'a, którego spotykam czasem u... no! tak... tu i owdzie... droga to jedyna, aby dowiedzieć się coś o Gastonie. Mówił mi, że wróciwszy teraz do Rzymu — gdzie jak wiesz zimę całą spędził z panią d'Herblay — Gaston stał się jeszcze bardziej mizantropem, jeszcze więcej do wszystkiego zniechęconym. Łatwo to zrozumieć! Obwiało go na nowo upajające powietrze paryskie, zobaczył, ile musiał poświęcić i dla czego, aby ugjąć znowu karku pod jarzmo ciężkie, aby brzęczeć łańcuchem, którym przykuł się dobrowolnie do kobiety chorowitej, zgorzkniałej...

— I która — wpadła mu w słowo pani de Vesore — dowiedziawszy się niedawno o swojem owdowieniu, musi mu srogo wymawiać, przynajmniej łzami i smutkiem źle tajonym, jeżeli nie słowami, że nie umiał strzedz lepiej swojej wolności kawalerskiej, i nie może jej teraz złożyć w ofierze, u małych stopek pani d'Herblay..

Przykry zawód! nie ma co mówić! mają jednak tylko to, na co oboje zasłużyli. Całe moje współczucie w inną stronę zwracam. Wiesz co mi powiedziała Alina, wyczytawszy temi dniami w dziennikach wiadomość o śmierci pana d'Herblay. „Teraz ja tylko stoję im na przeszkodzie. Gdyby mię Bóg zabrał z tego świata, wszystkim by łaskę wyświadczył.“ Biedne, kochane dziecię!

— Ona to powiedziała? — Alberyk potrząsł głową niedowierzająco. — Byłem przekonany, że obecność brata twojego nie dopuszcza u niej myśli tak czarnych i ponurych.

— Obecność Szaszy?... A jakim tonem ty to wygłaszasz! Że też to mężczyźni tak pochopni wierzyć w najgorsze u drugich, dlatego, że sami nie umieją oprzeć się najlżejszej pokusie. Doprawdy, ciebie na to trzeba tylko Alberyku, żeby tak złośliwie osądzać zażyłość najniewinniejszą!

— Daruj aniołku, ale nie wierzę w nic niewinnego ze strony twojego brata; i ty sama w gruncie słuszność mi przyznasz. Bądź co bądź nie ja tylko tak ten stosunek tłumaczę.., gdybyś była widziała czarną i groźną chmurę, która przeleciała przez czoło Gastona, gdy zobaczył przez moje okno Aleksandra, nadskakującego wam obydwom...

— O! co za przewyborna scena do komedji! — wybuchnęła śmiechem hrabina. — Nie mogę się dość o niej nasłuchać!

— Komedja! komedja! Zaręczam ci, że w jego minie nic nie było komicznego! Chyba się na tem nie znam! Był wściekły, krótko mówiąc: zazdrosny do szaleństwa!

— Zazdrosny?... Jakże można być zazdrosnym o żonę, którą się zdradza i opuszcza najhaniebniej?

— A to mi piękne rozumowanie! Gdyby żona oddawała mężowi każdą z jego niewierności, ślicznie by się działo na świecie!

— Prawo odwetu, jest przecie najloiczniejszem.. Nie mówmy jednak o tych rzeczach ogólnikowo, bo to by nas za daleko zawiodło. Wytłumacz mi tylko — uczę się chętnie —tę szczególną zachciankę, żeby zazdrościć w tym właśnie wypadku, który nas zajmuje. Gdy miłość nie pobudza do zazdrości, czemże jest to uczucie? Głupią dumą. A tak w czynach jak i w uczuciach, Gaston, o ile go znam, jest zdolnym do szaleństw, nawet bardzo niebezpiecznych, ale nigdy nie będzie głupio nadętym pyszałkiem.

— Ba! Jakież mamy na to dowody, iż nie zakochał się w swojej żonie o tyle, aby żałować, że jej nie posiada; żeby nie cierpieć głęboko i nie znosić tej myśli w szczególności, iż mogłaby należeć do innego?

To przypuszczenie zdawało się cieszyć niesłychanie hrabinę.

— Być może, iż znalazł w niej korzystną zmianę, i że sobie powiedział: „Gdybym był ją widział w tem świetle od razu, byłbym ją pokochał, gdyż jest istotnie czarującą.“ — Nie wątpię, iż to pomyślał.

— I że odtąd mimowoli porównywuje Alinę z panią d'Herblay, co ma się rozumieć szkodzi tej ostatniej, nieprawdaż?

— Można i to przypuścić...

— Istne z was potwory! Potwory bez wyjątku! — pani de Vesore wymówiła te słowa z naciskiem, dodając do nich wzrok wiele znaczący i przenikający, przed którym mimo całej rutyny i pewności siebie, mąż oczy spuścił. — Słuchaj no Alberyku — gdy chciała otrzymać od męża przyzwolenie na coś nadzwyczajnego, hrabina porzucała ceremonjalne *wy* francuzkie, i przechodziła do *ty* pieszczotliwego — chcę ci zrobić pewne wyznanie. Snuje mi się romans po głowie dzień i noc! nie mam snu, nie mam apetytu!

— Olgo! — krzyknął trochę zaniepokojony, przypomniawszy sobie jej zdanie o prawie odwetu.

— Oh! bądź spokojny! w tym romansie odgrywam rolę podrzędną, ale za to trzymam w ręku nici wszystkie intrygi tak interesującej, tak zawikłanej!... — hrabina wpadała w zapał coraz większy. — Mówią, że starym kobietom sam djabeł pomaga, a ja starzeję się na dobre! — głową potrząsła poważnie, jakby na słów tych poparcie — kończę lat dwadzieścia i dziewięć, to nie żarty. Dla mnie więc osobiście wszystko się skończyło, rzecz zatem naturalna, iż lubię mięszać się w sprawy obce, kojarzyć małżeństwa, naprawiać te, które żyją w rozterce, i tak dalej... i dalej... Oto co mi mój djabełek nadworny podszepnął... tylko nie mów mi, że to projekt fantastyczny, niewykonalny... chcę koniecznie, chcę za jaką bądź cenę widzieć Alinkę szczęśliwą!

— Tłumacz się jaśniej, bo ja, który nie mam djabełka na usługi, ani słowa nie rozumiem!...

— Myślę o małej do Włoch wycieczce, w towarzystwie naszej kuzyneczki... ot i wszystko!

— Aby spotkać się z Gastonem?

— A choćbyśmy i spotkały go trafem nadzwyczajnym, cóż byś widział w tem tak złego? Natchnęła mnie tą myślą długa tyrada twojej ciotki, w której starała się nas wczoraj przekonać: „Jak to za czasów jej młodości, kobiety inne były, jakby były walczyły i zwyciężały, odbierając serce męża na własność wyłączną...“ Czasem i głupstwo na coś się przyda... i ta jej czcza paplanina dała mi dużo do myślenia. Taka zdobycz, trudniejsza niż każda inna, mogłaby stać się w samej rzeczy pożądaną, choćby nie dlaczego innego, to z tytułu zemsty.

— Mówisz bardzo lekko o sprawach tak ważnych.

— Nic nie szkodzi, skoro myślę o nich całkiem na serjo.

— Alinę nie namówisz nigdy...

— Na prostą przejażdżkę? Dla czegoż by mi się to udać nie miało? Zresztą niczego się nie będzie domyślała. Gdybym przed nią cel właściwy zdradziła, wszystko byłoby stracone. Za nadto ma wiele dumy kobiecej. Wolałaby strawić się w samotności i tęsknocie

zabójczej, niż gonić za zbiegiem niegodziwym. Ja atoli nie mogę na to pozwolić.

— Chcesz się zabawić w grę nader niebezpieczną, Olgo!

— Wiesz, że tylko gra wysoka może mnie zainteresować. Rozpoczęłam już kroki wstępne. Fantazujemy o Włoszech, gdzie jeszcze nie była... mówimy o tem z częsta, że warto by się tam wybrać we dwójkę. Idzie więc tylko o to, aby termin przyspieszyć i dzień wyjazdu naznaczyć. Cóż łatwiejszego!

— Hm! ja byłbym innego zdania... wie przecie, że ten, którego unika najmocniej, tam się znajduje.

— Ależ ciocia poczciwa zapewniła, że emigruje do Ameryki... Zabawny chłopiec, któremu się zdaje, że i on się odnowi w nowym świecie. Jaka naiwność niesłychana! Przecie zabieramy w nas i z nami wszystko, przed czem byśmy uciec chcieli: wspomnienia, wyrzuty sumienia własnego, i żal niewczesny potem, cośmy samochcąc utracili! Otóż dla Aliny trzeba... rozumiesz? żeby obecnie znajdował się na pełnym oceanie. Już jej to wyperswadowałam, a ponieważ ciocia jest o tem najmocniej przekonaną, jej smutek szczery osłoni moje kłamstwo. Może ją pociągnie rodzaj ciekawości, żeby zwidzieć miejsca, gdzie przebywał niegodziwiec z jej rywalką. My kobiety, lubimy otaczać się smutnemi wrażeniami, upajamy się boleścią przynajmniej, skoro czem innem nie możemy... Pomożesz nam, powtarzając przy nadarzonej okazji, jakby ci się wyrwało pomimo woli imię Gastona, że odjechał... że odjechali, pojmujesz?... O! mamy każdy swoją rolę, nakreśloną jasno i dokładnie.

— Czy moja rola wymaga również, abym wam towarzyszył? — spytał pan de Vesore zaniepokojony. Myśl, iż będzie musiał bodaj na krótko opuścić bruk paryski, strachem go zawsze przejmowała.

— Zabierać cię z Paryża, kiedy pora wyścigów się zbliża? Nie jestem na tyle okrutną... Zostaniesz i będziesz czuwał, żeby mi ciocia de Sénonnes Szaszę za nadto nie rozpieściła, którego pod jej opiekę oddaję. Dzieci zawadzają tylko w podróży.

— Wybierasz się widocznie na krótko, bo bez niego nie byłabyś w stanie obywać się długo! — rzekł Alberyk z przekąsem. Gniewało go to poniekąd, iż odkąd syn był na świecie, zajmował w sercu żony miejsce podrzędne.

— Zabawimy miesiąc najdłużej... nie potrzeba mi więcej czasu na odbycie próby...

— Jakiej właściwie?

— Jeszcześ nie zrozumiał? Oj, ty tępa głowo! Idzie o to, żeby się spotkali czy chcą, czy nie chcą! Reszta już od Boga zależy! Jednak nie tracę nadziei!

— Plan romansu strasznie ciemny i nieokreślony..

— Mniej niż sądzisz... nie mogę atoli zdradzać go naprzód, nie zdradziwszy również charakterów i usposobień moich głównych osobistości, które ja znam jedynie... Tego zaś dyskrecja nie pozwala mi popełnić. Niech ci wystarczy tymczasem zapewnienie, iż działam na pewne... Zresztą mój spryt genialny, dopomoże mi zwalczać trudności, w miarę jak się będą nasuwały.

— Mówisz ciemno, jak wyrocznia delficka! — wzruszył pan de Vesore ramionami. — Chociaż twoich planów zbadać jasno nie mogę, nie sprzeciwiam się projektowi fantastycznemu... nie wiem jednak czy wypada, aby dwie młode kobiety puszczały się w świat samopas, jak proste awanturnice... bo nie spodziewam się, aby wasz zwykły Cicisbéo?...

— Aleksander? O! ten nam bynajmniej niepotrzebny i tobie go zostawiamy; mis Ruth jednak może bezpiecznie zastąpić mężczyznę. Jest dość na to chuda, wysoka i energiczna. Zabieramy tedy z sobą miss Ruth.

Miss Ruth przystawała chętnie na podróż do Włoch; życzyła sobie w ogóle, aby Alina, zmieniając miejsce pobytu, uwolniła się od wpływów niebezpiecznych. Stara panna studjowała dawną swoją elewkę niemal z macierzyńskiem jasnowidzeniem i pierwszy raz w życiu nie była z niej zadowoloną. Nadskakiwania Moskala (tak zawsze księcia Druckoj nazywała, przeklinając godzinę jego przyjazdu do Paryża) napełniały ją trwogą. Odnosiła do jego obecności rozkwit, który nastąpił teraz właśnie w urodzie Aliny. Przyjemnie to zawsze być przedmiotem uwielbienia, i zajmować wyłącznie czyje myśli, choćby ten ktoś był nam zupełnie obojętny; miss Ruth zresztą uznawała, jak trudno zostać obojętną wobec osobistości tak wybitnej, tak olśniewającej, jaką był książę niezaprzeczenie. Sądziła podług siebie. Czyż nie zaczęła go nienawidzieć od pierwszej niemal chwili, mimo iż starał ją sobie ująć uprzejmością nadzwyczajną? Książę albowiem pozostał wierny tradycjom wszystkich uwodzicieli, którzy mieli od wieków w zasadzie ujmować czem można duenny, aby zapewnić sobie pomoc tychże w danym razie. Ale gdzież by Angielka w Biblji zatopiona, czystej krwi Purytanka, dała się złapać na słówka miodowe barbarzyńcy. Cokolwiek przedsiębrał, aby jej oczy zamydlić, wszystko było bezowocne. Widziała w nim wcielonego Antychrysta, libertyna bardzo wprawdzie miłego, który jednak budził w niej wstręt nieprzezwyciężony. Przypisywała mu najwyższą niemoralność, sceptycyzm, świętoszkowstwo; nawet prześliczny typ jasnowłosego syna północy, w jej oczach przypominał szatana i świętą trwogą jej serce dziewicze przenikał.

— Ta biedna Alina — mówiła sobie w duchu miss Ruth — nie widzi koźlich nóg i rogów djabelskich... daremnie bym nawet zwracała na to jej uwagę; ten scamp, ten nicpoń umiał się podobać! Jak tu kiedyś cała spłonęła, gdy ją zapewniał siedzącą z małym Szaszą na łonie, że wygląda na Madonnę Perugin'a, czuwającą nad swoim Bambinem, a przed którą on byłby gotów uklęknąć w zachwycie... Czyż nie zmięszała się jeszcze bardziej, gdy okrył pocałunkami, z zapałem śmiesznym, nadzwyczaj śmiesznym, małego baby, gdy go spuściła z kolan, uściskawszy serdecznie? A owego wieczora, gdy z okazji reform socjalnych, które mają wejść w życie we Francji, palnął mówkę

pochwalną na cześć rozwodów, czyż nie zawisła niejako na jego ustach? Wstyd mi było za nią, tem więcej, iż on dobrze uważał, jak się interesuje tym wywodem... mina zarozumiała i tryumfująca, aż nadto jasno to okazywała; słowa płynęły mu gładko, jak fale rzeki niczem niewstrzymane. O! język to zręczny, obrotny, prawdziwy język węża kusiciela!... A jak on się w nią wpatruje! Boże wielki! aż ja sama dreszcz czuję od tego wzroku gorejącego! Nie! to już nie do wytrzymania!

— Z deszczu pod rynnę! — miss Ruth prowadziła dalej swoje spostrzeżenia, z rosnącym niepokojem. A było to po owej rozmowie z mamą de Sénonnes u hrabiny de Vesore, o której Alina nie uznała potrzeby wspominać swojej wiernej nauczycielce. — Teraz znowu jakiś smutek ją opanował, smutek niemal w spleen przechodzący, z napadami niecierpliwości, ze zmianami w humorze, których dotąd u niej nie znałam... Zły to znak! Cóż się takiego mogło wydarzyć? Czyż byłaby sama z siebie niezadowoloną, czyżby czuła, że leci w przepaść, po tej samej pochyłości, którą przebywała równie jak ona czysta i cnotliwa Claryssa, ubezwładniona po długim oporze, natarczywością i podstępnością Lowelace'a?

Alina nie była wprawdzie narażona na żadne z tych niebezpieczeństw, których straszne obrazy roiły się w rozbujałej wyobraźni miss Ruth; była jednak zła na siebie, była zła na świat cały! Chociaż pani de Sénonnes więcej o wyklętym nie wspominała, zdawało jej się, iż za chwilę usłyszy: „Mogłaś go zatrzymać... wybawić... wrócić biednej matce!“ — Powtarzała wprawdzie, że to niedorzeczność, niepodobieństwo, a jednak wyrzucała sobie po trosze nieczułość, z jaką odtrąciła prośby macierzyńskie; a jednak czuła, że gdyby traf nieszczęśliwy nie był uczynił świadkiem tej przykrej sceny księcia Aleksandra Druckoj, byłaby się okazała może mniej dumną, mniej nieugiętą. Odtąd nie pozwalając sobie najlżejszej aluzji do przedmiotu tak drażliwej natury, książę postąpił znacznie w ścisłych z nią stosunkach. Częściej teraz spotykała wzrok jego w nią utkwiony, wzrok dumny, płomienisty, a jednocześnie pełen pieszczoty, którym zdawał się niejako brać ją w posiadanie. Odgadywała instynktowo ile w tym człowieku, o powierzchowności nadzwyczaj ugrzecznionej, jest ukrytych na dnie serca dzikich namiętności, szalonych porywów, uporu niezłomnego. Oburzała się na to jej czystość dziewicza, jej godność kobieca, przeczuwała, iż ten człowiek popsuty łatwemi podbojami i smutnem w życiu doświadczeniem, tłumaczy sobie najfałszywiej jej smutek, jej pomięszanie, widzi w tem przyznanie się do pewnej słabości i czekając na lepsze, zadawalnia się tymczasem przeświadczeniem, że obecność jego, jest bądź co bądź pokusą dla niej i niebezpieczeństwem. Alina nie była wprawdzie ani niespokojną, ani oczarowaną, byłaby jednak chętnie wybrała się do Bruyére, ale ją zapewniano, że Owernji zima sroży się dotąd w najlepsze. Uznała więc, iż wyjazd tak przyspieszony, mógłby właśnie spowodować komentarze, których przedewszystkiem chciała uniknąć.

— Gotów sobie wyobrazić — pomyślała, że przed nim uciekam!

A jednak go się lękała i radaby była przerwać jak najprędzej stosunki, które z każdym dniem stawały się dla niej przykrzejsze i kłopotliwsze, chociaż książe wystrzegał się pilnie kroku stanowczego. Przyjęła więc z ochotą propozycję Olgi, widząc w niej korzyść podwójną.

— Rzecz skończona! — zapowiedziała hrabina de Vesore pewnego wieczora, herbatę nalewając — uwożę Alinkę temi dniami.

Książe zatopiony w książce z obrazkami, które tłumaczył małemu *Szaszy*, nie podniósł głowy, nie okazał najlżejszego wzruszenia, bąknął tylko:

— Wiosna jest roskoszną w Rzymie, zazdroszczę paniom tego używania. Mniej od was szczęśliwy, będę długo na nią czekał w głębi Rossji. Wzywa mnie mój rządca — tu nazwał jedno ze swoich dóbr najbardziej odległych — w sprawie nader nudnej i zawikłanej.

I tonem najobojętniejszym, zaczął mówić z siostrą o wspólnych im interesach.

— Dzięki Bogu! — odetchnęła miss Ruth — przecie go się pozbędziemy!

Aż do dnia odjazdu, zachowanie się księcia wobec Aliny było serdeczne, ale bez cieniu galanterji. Nie pozował bynajmniej na nieszczęśliwego, wzdychającego kochanka, którego rozłączają z ubóstwianą, nie wspomniał nawet o nadziei rychłego zobaczenia jej, gdy powróci. Byłoż w tem jakie wyrachowanie? Czy chciał tym sposobem podrażnić próżność kobiecą, lub też uspokoić Alinę udaną obojętnością? Nikt, nawet siostra, której zdawało się, że go zna na wylot, dla tego, że zwierzał się jej z pospolitemi drobnostkami, robiąc z nich wielkie tajemnice — siostra nawet, nie wiedziała na pewno, co o nim myśleć, i jak sobie postępowanie jego obecne tłumaczyć.

XIV.

Dwie przyjaciółki z nieodstępną ochmistrzynią, mieszkały od dni kilku w jednym z głównych hoteli na *Corso*. Każdego ranka można je było widzieć razem w galerjach Watykanu, lub na Kapitolu, każdego poobiedzia biegały z kościoła do kościoła, z pałacu do pałacu; każdy zachód słońca, zastawał je w ekstazie, przed widokiem niezrównanym, który okazuje się oczom zdumionym z *Monte Pincio*; jeżeli nie zapóźniły się w pośród gruzów marmurowych na Forum, lub nie zabłąkały się bądź w *Coloseum*, bądź w ruinach Palatynu, bądź jeszcze na drodze appijskiej. Miejsc tych majestat, chociaż na pół zniszczony zębem czasu nieubłanego, zaćmiewa niemal wspaniałości Rzymu rafaelowskiego, Rzymu ozdobionego przez Michała Anioła. Alina odczuwała zachwyt, przenikający każdego podróżnika z wyższym ducha nastrojem, skoro ochłonie z pier-

wszego wrażenia, które niemal dreszczem grozy przejmuje na widok tylu wielkości. Zdawało jej się, że zaczyna żyć na nowo, uwolniona od Ja własnego, od pospolitych spraw codziennych. Spoglądała z góry na wszystko co ziemskie jakby w Mieście Wiecznem, ogarnął ją duch boży, duch nieskończoności. Wiedziała, że to tylko zawieszenie broni, że gdy czar się rozwieje, znajdzie się znowu w obec smutku, w obec tęsknoty, uspionej na chwilę. Roskoszą prawdziwą była dla niej jednak i ta krótka chwilka zapomnienia i błogiego odpoczynku. Widzimy te uczucia oddane nadzwyczaj plastycznie w Arjadnie, cudownej, niezrównanej, którą Alina szła często oglądać w sali gdzie spoczywa, sparta na jednej ręce, z twarzą jasną i spokojną. Spi nie przeczuwając, że kochanek niewierny od niej ucieka, że jest samą, że umrze prawdopodobnie na skale w *Naxos*; nie przeczuwa również, iż bożek zbliża się, aby ją pocieszyć, nie wie nic o teraźniejszości, o przyszłości... spoczywa tylko słodko i marzy... Alina znajdowała się w równem upojeniu. Ukołysały ją i dały zapomnieć o troskach osobistych, wspaniałe dzieła sztuki, jak już przedtem uspokoiły jej ducha zbolałego wrażenia zawsze świeże, bo nieśmiertelne, dzieł bożych, natury pięknej, niezrównanej. Żyła pospołu z arcydziełami; w obec wieków całych, które zdawały się występywać z otchłani, i powoli przesuwały się przed jej wzrokiem olśnionym, z orszakiem pół-bożków, bohaterów i męczenników. Czemże ona była wśród tych wypadków olbrzymiej doniosłości? Efemerydą, pyłkiem nic nie znaczącym! W dzień zdawało jej się, że ten *pyłek* wznosi się upojony ku niebu, na złotym słońca promieniu. Słońce atoli nie zawsze świeci, nie można mieć wiecznie cudownych widoków przed oczami. Skoro ciemności nocne zapadały, pojawiał się ten sam obraz nieszczęsny w duszy Aliny. Parowiec płynął ku Ameryce, unosząc Gastona na pokładzie, na wieki! a z nim nadzieję lepszej doli! Była to najstosowniejsza pora oddać się życiu idealnemu, kontemplacyjnemu, w którem przynajmniej od nikogo zawodów doznać nie możemy. Życie takie daleko więcej ją pochłaniało, niż Olgę. Ta ostatnia była jakaś niespokojna i jakby z czegoś niezadowolona.

— Przyniosła mi wielką ofiarę, rozłączając się z synem — myślała czasem Alina — i Rzym nawet nie może jej w tej trosce rozerwać.

Nie szło tu jednak o małego Szaszę, o którego najlepszem powodzeniu, częste wiadomości odbierała; hrabina trapiła się planem kampanji, nie postępującym z taką łatwością, jak się tego przed wyjazdem spodziewała. Po cóż bo istotnie przybyły na plac boju, kiedy nieprzyjaciel wyzwania nie przyjmuje, i zostaje wytrwale niewidzialnym. Liczyła na to, że w Rzymie, trzeba się co krok z każdym zetknąć. Tak się dzieje istotnie z turystami, którzy jak owce, lecą jedni za drugimi i wypełniają machinalnie jeden i ten sam program, aby nie uchybić dnia ani godziny, kiedy można zwidzieć ten, lub ów pałac, tę, lub ową galerję. Zamieszkanie jednak stałe Rzymu, wcielając niejako Gastona między tegoż zwykłych mieszkańców, uwolniło go raz na zawsze od wszelkich programów i uśmierzyło w nim pospiech gorączkowy, z którym przejeżdżający radziby wszystkie piękności na raz pochłonąć. Nadaremnie zatem pani de Vesore spodziewała się go zastać o pewnej godzinie w pałacu *Barberini'ch*, lub w pałacu *Borghese'ów*, we wtorek w willi *Albani*, w czwartek w willi *Ludovisi*, i tak dalej, i dalej... wszędzie tam gdzie tłum idzie. Ileż to razy Alina próbowała nadaremnie zwrócić uwagę swojej towarzyszki, bądź na cudowne *freski* w kaplicy Sykstyńskiej, bądź na coś innego i pytała zniecierpliwiona: — Co też Olga może widzieć w koło siebie, więcej niż to interesującego? — Czyż mogła się domyśleć, iż Olga tak goni oczami za Gastonem, chociaż i Alina nieraz w duszy przypomniała go sobie, patrząc na te piękności niezrównane.

— Niedawno może — wzdychała pokryjomu — patrzył i on na te dzieła genjalne, a serce mu biło zachwytem nadziemskim, tak jak moje bije w tej chwili. O czemuż nie było nam dane, doznać razem tych roskoszy, udzielać sobie wzajemnie uwag, któreby jeszcze wartość piękna podnosiły!... Niestety żadnego uczucia żadnego wrażenia z sobą nie podzielimy!...

I łza natrętna, szybko napowrót wepchnięta, do ócz się gwałtem cisnęła.

Nie mogły również spotkać Gastona na codziennej defiladzie na *Pincio*. A ona to właśnie stanowiła punkt wyjścia, dla wszystkich kombinacji hrabiny de Vesore. Nadzwyczaj rzadko ukazywali się Gaston i pani d'Herblay na promenadzie najwięcej uczęszczanej, gdzie tak ekwipaże, jak i piesi przechodnie zatrzymywali się, aby słuchać muzyki i gdzie oddawano sobie wizyty nawzajem, z powozu do powozu. Obawiali się zanadto czczej ciekawości i niepotrzebnych komentarzy, mimo iż towarzystwo we Włoszech, jest nadzwyczaj łatwe, nadzwyczaj wyrozumiałe, na wszelkie grzeszki figlarnego *Amorka*, że patrzy ze śmiechem i przez palce, na podobne stosunki, i byłoby ich chętnie wcieliło w swoje koło wesołe, nie dopytując się i nie wchodząc bynajmniej w bliższe szczegóły, ta jednak wybaczliwość, byłaby równie przykrą dla Blanki, jak i pogarda, a dla Gastona byłaby w wysokim stopniu kłopotliwą i żenującą. Innego dla nich wyjścia nie było, jak zamknąć się szczelnie u siebie i ograniczyć wzajemnie na własnem towarzystwie. Zaledwie odważała się pani d'Herblay ukazać kiedy niekiedy w teatrze, i to zdawało jej się, że wszyscy tylko w nią się wpatrują. Teraz atoli i to spotkanie były niemożebne, gdyż *Opery* nie było już w Rzymie o tej porze.

— Nie możemy przecież tropić go w własnej norze! — myślała Olga, załamując ręce rozpaczliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.